



PER
PETTERSON
Przeklinam
rzeke
czasu



Precyzja słowa i siła emocji.
„Booklist”



Zanim **Per Petterson** (ur. 1952) zadebiutował w 1987 roku zbiorem opowiadań *Aske i munnen, sand i skoa*, miał się różnych zajęć: pracował fizycznie, był księgarzem i tłumaczem. Jest prozaikiem cenionym w Norwegii i tłumaczonym na wiele języków. Niedawno nakładem W.A.B. ukazała się powieść *Kradnąc konie*, która przyniosła mu ogromną sławę. Została uhonorowana nagrodami norweskich krytyków literackich i norweskich księgarzy, w 2006 roku przyznano jej Independent Foreign Fiction Prize, a w 2007 – prestiżową IMPAC Dublin Literary Award. Prawa do przekładu nabyły wydawnictwa z ponad dwudziestu krajów.

PER
PETTERSON
Przeklinam
rzeke
czasu

Przełożyła
Iwona Zimnicka

Przekład ukazał się z pomocą finansową NORLA
This translation has been published with
the financial support of NORLA

Tytuł oryginału: *Jeg forbanner tidens elv*
Copyright © 2008, Forlaget Oktober A/S
Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Copyright © for the Polish translation
by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

Steenowi

I

Wszystko to wydarzyło się już kilka ładnych lat temu. Moja matka od dłuższego czasu czuła się fatalnie. Aby uciąć marudzenie tych, którzy się o nią martwili, zwłaszcza moich braci i ojca, poszła w końcu do lekarza, z którego porad zwykle korzystała, a raczej z którego porad korzystała cała moja rodzina od zarania dziejów. Musiał być wtedy bardzo stary, bo nie pamiętam, abyśmy kiedykolwiek chodzili do kogoś innego, i nie przypominam sobie, by kiedykolwiek był młody. Sam też się u niego leczyłem, chociaż mieszkałem kilkadziesiąt kilometrów dalej.

Po krótkiej konsultacji stary lekarz rodzinny od razu skierował matkę do szpitala Aker na dokładniejsze przebadanie. Kiedy przeszła już kilka być może bolesnych badań w białych albo jasnozielonych czy jabłkowiezielonych gabinetach w wielkim szpitalu położonym prawie przy Sinsenkrysset po tej stronie Oslo, o której zawsze lubiłem myśleć jak o naszej, czyli wschodniej, kazano jej wracać do domu i dwa tygodnie czekać na wyniki. Gdy wreszcie przyszły, okazało się,

że ma raka żołądka. Jej pierwszą reakcją była myśl: „To ja latami nie spałam po nocach, zwłaszcza wtedy, gdy nie odchowalam jeszcze dzieci, i umierałam ze strachu przed śmiercią na raka płuc, a tymczasem mam raka żołądka. Tyle zmarnowanego czasu!”

Taka była moja matka. I paliła papierosy, tak jak ja przez całe moje dorosłe życie. Dobrze znam ten stan, w którym nocą człowiek leży sztywno pod kołdrą, suchymi, bolącymi oczami wpatruje się w ciemność i czuje, że życie ma w ustach dosłownie smak popiołu, chociaż ja, prawdę mówiąc, bardziej martwiłem się o własne życie, niż o to, że moje dzieci zostaną bez ojca.

Matka przez dłuższą chwilę tylko siedziała przy kuchennym stole z kopertą w rękę, patrząc przez okno na ten sam trawnik, ten sam pomalowany na biało płot, te same suszarki do bielizny i te same, identycznie szare szeregowce, na które patrzyła od tylu lat, myśląc o tym, o czym myślała niemal równie długo: że właściwie ani trochę nie lubi tego, co widzi. Nie lubi wszechobecných w tym kraju skał, nie lubi świerkowych lasów ani płaskowyżów, nie lubi gór. Gór nie mogła stamtąd zobaczyć, ale wiedziała, że są wszędzie i że codziennie odciskają piętno na ludziach mieszkających w Norwegii.

Wstała, wyszła do przedpokoju i wykonała jeden telefon; po krótkiej rozmowie odłożyła słuchawkę i znów usiadła przy stole, żeby czekać na mojego ojca. Ojciec już od kilku lat był na emeryturze, to ona pra-

cowała, czternaście lat od niego młodsza, ale tego dnia miała wolne. Albo sama je sobie wzięła.

Mój ojciec często wychodził, zawsze miał coś do załatwienia, jakieś sprawy, których matka na ogół nie rozumiała i których rezultatów nigdy nie widziała, ale wszelkie konflikty między nimi ucichły już dawno temu, trwało zawieszenie broni. Dopóki on nie usiłował kierować jej życiem, miał spokój i w swoim. Matka zaczęła go nawet bronić i ochraniać. Kiedy mnie wymknęło się jakieś słowo krytyki, gdy brałem jej stronę w źle pojętej próbie wspierania walki o wyzwolenie kobiet, słyszałem, że mam pilnować własnego nosa. „Tobie łatwo krytykować – mawiała – bo wszystko dostałeś na tacy, Smyku”.

Jakby moje życie szło jak po maśle. Gnałem prosto w rozwód, mój pierwszy, i myślałem, że życie rozbije się w drobny mak. Zdarzały się dni, kiedy nie byłem w stanie przemieścić się z kuchni do łazienki, przynajmniej raz nie osuwając się na kolana, zanim zdołałem wziąć się w garść i iść dalej.

Kiedy mój ojciec wreszcie wrócił do domu, załatwiwszy najbardziej, jego zdaniem, nagłą sprawę, przypuszczalnie w dzielnicy Vålerenga – skąd pochodził i gdzie również ja się urodziłem siedem lat po wojnie – bo często tam wracał, żeby spotykać się z równolatkami z podobnych rodzin, w „Drużynie Starych Pryków”, jak mówił, moja matka wciąż siedziała przy kuchennym stole. Teraz miała w ustach papierosa, prawdo-

podobnie salema, a może cooly, bo jako osoba, która bała się raka płuc, często sięgała po mentolowe.

Ojciec stanął w drzwiach ze starą torbą na ramię w rękę, dość podobną do tej, której używałem w szóstej i siódmej klasie podstawówki, wszyscy wtedy takie nosili, i z tego, co wiem, była to ta sama torba, a w takim razie miała wówczas ponad dwadzieścia pięć lat.

- Wyjeżdżam dzisiaj - oświadczyła moja matka.

- Dokąd? - spytał ojciec.

- Do domu.

- Do domu? - powtórzył. - Dzisiaj? Chyba powinniśmy najpierw o tym porozmawiać. Muszę przecież mieć czas na zastanowienie.

- Nie ma o czym rozmawiać - powiedziała matka. - Już zamówiłam bilet. Właśnie dostałam list ze szpitala. Mam raka.

- Ty masz raka?

- Tak, raka żołądka. Dlatego muszę pojechać do domu.

Wciąż nazywała domem Danię i to konkretne, położone na samej północy tego małego kraju miasto, z którego pochodziła, chociaż w Norwegii, w Oslo, mieszkała już dokładnie czterdzieści lat.

- No, ale... chcesz jechać sama? - spytał.

- Tak - odparła matka. - Właśnie tego chcę.

Wiedziała, że mówiąc w ten sposób, uraziła ojca i sprawiła mu przykrość, nie miała z tego żadnej radości, przeciwnie, pomyślała, że zasłużył na lepsze trak-

towanie po tak długim wspólnym życiu, ale czuła, że nie ma wyboru. Musiała jechać sama.

- Raczej nie zostanę tam długo - powiedziała. - Kilka dni i wrócę. Muszę przecież iść do szpitala. Pewnie będą mnie operować. Przynajmniej mam taką nadzieję. Tak czy owak, płynę wieczornym promem. - Spojrzała na zegarek. - To znaczy za trzy godziny. Lepiej pójdę na górę się spakować.

Mieszkali w szeregowcu, z kuchnią i salonem na parterze, trzema sypialenkami i malusieńką łazienką na piętrze. Dorastałem w tym mieszkaniu. Znałem każdą zmarszczkę na tapecie, każdą szparę w podłodze, każdy przerażający kąt w piwnicy. To był jeden z tanich domów zbudowanych przez firmę Selvaag. Wystarczyło mocno kopnąć w ścianę, a stopa wpadała do sąsiada.

Matka zgasiła papierosa w popielniczce na stole i wstała. Ojciec nie ruszył się od drzwi, w których tkwił z torbą w ręku. Drugą rękę lekko i niepewnie uniósł w jej stronę. Nigdy nie był mistrzem kontaktu fizycznego, nie licząc ringu bokserskiego, nie należało to chyba również do najmocniejszych stron mojej matki, ale teraz, żeby móc przejść, delikatnie, niemal z czułością odepchnęła ojca na bok. Pozwolił jej na to, lecz z taką dozą niechęci, na tyle opornie i powoli, żeby zrozumiała, że on pragnie jej dać coś konkretnego, jakiś znak, bez nazywania tego słowami. Na to już za późno, orzekła w duchu, zdecydowanie za późno, ale on jej nie słyszał. Mimo wszystko dała mu się

zatrzymać w drzwiach dostatecznie długo, żeby zrozumiał, że po czterdziestu latach współżycia i odchowaniu czterech synów, chociaż jeden z nich już nie żył, łączy ich tyle, że wciąż mogą przebywać w tym samym domu, w tym samym mieszkaniu, i czekać na siebie, a nie po prostu wyjeżdżać na łapu-capu, gdy wydarzy się coś ważnego.

Prom, którym popłynęła, którym pływaliśmy wszyscy, wybierając się w tę stronę świata, nazywał się „Holger Danske”. Wkrótce po tych wydarzeniach dokonał żywota jako statek-hotel dla uchodźców w Szwecji, najpierw, jak się dowiedziałem, w Sztokholmie, później w Malmö, a dziś od dawna jest złomem w jakimś azjatyckim kraju, gdzieś na plaży w Indiach albo w Bangladeszu, ale w tych dniach, o których opowiadam, wciąż kursował na stałej linii między Oslo a miastem na samej północy Jutlandii, tym, w którym dorastała moja matka.

Lubiła ten prom i uważała, że wcale nie zasłużył na taką złą sławę – powszechnie mówiło się o nim „Holder Kanskje” – „Może Wytrzyma”, albo „Kommer Kanskje” – „Może przyplynie”, ale był o wiele lepszym statkiem niż pływające kasyna, które dziś obsługują tę linię, zapewniające nieprzytomnie dużo możliwości sposobów upicia się do nieprzytomności, więc chociaż „Holgerem Danske” może i trochę kołysało przy złej pogodzie, a ten czy ów musiał z tego powodu wymiotować, wcale to jednak nie oznaczało, że znalazł się

już w drodze ku otchłani. Sam rzygałem na „Holgerze Danske”, ale podchodziłem do tego z dystansem.

Matka czuła sympatię dla ludzi, którzy pracowali na pokładzie. Prom był na tyle nieduży, że z wieloma zawarła niezobowiązującą znajomość, marynarze zaś wiedzieli, kim ona jest, poznawali ją, gdy wchodziła po trapie, i witali jak swoją.

Być może tym razem zauważyli większą niż zwykle powagę w jej sposobie bycia, poruszania się, w sposobie, w jaki się rozglądała, czemu często towarzyszył uśmiech, który właściwie nim nie był, bo nikt nie widział żadnego powodu do uśmiechu, ale ona tak właśnie wyglądała, gdy coś ją bardzo zajmowało i gdy z całą pewnością znajdowała się myślami zupełnie gdzie indziej, niż sądzili ci, którzy stali obok. W takich chwilach wydawała mi się wyjątkowo piękna. Cera jej się wygładzała, a w oczach pojawiał się niezwykle przejrzysty blask. Jako mały chłopiec często ją obserwowałem, gdy nie wiedziała, że jestem razem z nią w pokoju, albo może zapomniała o mojej obecności, czułem się wtedy samotny i opuszczony. Ale było to również interesujące, bo matka wyglądała wtedy jak kobieta z filmu pokazywanego w telewizji, jak Greta Garbo, która pod koniec *Królowej Krystyny* stała rozmarzona na dziobie swojego statku w drodze ku innemu, bardziej uduchowionemu miejscu, a mimo to w dziwny sposób trafiła do naszej kuchni i na chwilę przysiadła na jednym z czerwonych krzeseł ze stalowych rurek, z dymiącym papierosem w palcach, nad rozłożoną, ale na razie nietkniętą

i nierozwiązaną krzyżówką. Albo jak Ingrid Bergman w *Casablance*, miała taką samą fryzurę i taki sam łuk policzka, ale moja matka nigdy nie powiedziałaaby: „You have to think for both of us” do Humphreya Bogarta. Nie powiedziałaaby tak do nikogo.

Jeśli członkowie załogi „Holgera Danske” zauważyli tę albo inną zmianę w sposobie, w jaki się z nimi witała, gdy przeszła po trapie z niedużą brązową walizką z imitacji skóry, którą odziedziczyłem i z którą jeżdżę wszędzie, to przynajmniej nikt tego nie skomentował, co, jak myślę, raczej ją ucieszyło.

Kiedy zeszła na dół do kabiny, położyła walizkę na krześle, z półki nad umywalką wzięła szklanekę do mycia zębów i starannie ją opłukała, potem otworzyła walizkę i wyciągnęła spomiędzy ubrań niedużą butelkę. To była mała Upper Ten, tę markę whisky preferowała, kiedy piła alkohol, a piła, przypuszczam, znacznie częściej, niż mieliśmy tego świadomość. Oczywiście to nie była nasza sprawa, ale zdaniem moich braci Upper Ten to tanie gówno, a już na pewno w podróży, gdy ma się dostęp do towarów bezcłowych. Oni wolili *malt whisky*, Glenfiddich albo Chivas Regal, jaką można było dostać na promie do Danii, wygłaszali długie wykłady o wyjątkowo łagodnym muśnięciu *single malt* na podniebieniu i podobne nonsensy, wyśmiewaliśmy zły gust matki. Patrzyła na nas wtedy zimno i odpowiadała: „Wy naprawdę jesteście moimi synami? Takie snoby?” A potem dodawała: „Jeśli chcesz

grzeszyć, grzech musi zapiec”. Prawdą jest, że się z nią zgadzałem, a żeby być do końca szczerym, to ja też kupowałem norweską markę Upper Ten, kiedy już odważyłem się pójść do monopolowego. Ta whisky nie była ani *single malt*, ani łagodnie nie muskała podniebienia, tylko piekła w gardle, aż łzy stawały w oczach, jeśli ktoś nie przygotował się psychicznie na pierwszy łyk. To wcale nie znaczy, że to była zła whisky, za to tania.

Matka gwałtownym ruchem odkręciła korek butelki, napełniła szklankę mniej więcej w jednej czwartej i opróżniła ją dwoma łykami, a w ustach i w gardle zapiekło ją tak, że długo kasłała, trochę przy tym sobie popłakała, skoro i tak już ją bolało. Potem szybko schowała butelkę z powrotem między ubrania w walizce, jakby to była kontrabanda, a pod drzwiami już stali celnicy z łomem i kajdankami, splukała łzy z twarzy przed lustrem nad umywalką, starannie się wytarła, lekko obciągnęła ubranie, co trochę pulchniejsze kobiety robią prawie nieustannie, i poszła na górę zjeść coś w kafeterii, miejscu bezpretensjonalnym pod każdym względem, z równie bezpretensjonalnym i przejrzystym menu, tak jak lubiła, więc „Holger Danske” był właściwym promem.

Do kafeterii zabrała ze sobą książkę, którą właśnie czytała, a czytała zawsze, stale miała książkę wsuniętą do torebki, jeśli zaś Günter Grass niedawno wydał coś nowego, to z całą pewnością miała przy sobie właśnie to, po niemiecku. Gdy wkrótce po ukończeniu liceum

Strofa wiersza *Powrót do Shaoshan* na stronie 70 pochodzi
ze zbioru *Mao Tsetungs dikti* w przekładzie Kjella Heggelunda
i Tora Obrestada, Gyldendal 1971.

Redakcja: Anna Adamiak
Korekta: Beata Wójcik, Katarzyna Pawłowska
Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt okładki i stron tytułowych: Monika Klimowska,
na podstawie koncepcji graficznej Zuzanny Lewandowskiej

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki:

© Patrice Dufour/sxc.hu

Fotografia autora: © Torunn Nilsen

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne
Piaseczno, Żółkiewskiego 7a

ISBN 978-83-7747-330-6

Z recenzji *Kradnąc konie*:

Kradnąc konie to świetnie napisana książka, nawiązująca wyraźnie do wielkiej tradycji literatury skandynawskiej z pierwszej połowy XX wieku. Plastyka opisu idzie w parze z subtelnością analizy psychologicznej, rytm pór roku i rytm ludzkiej pracy przypominają o wiecznych prawach, których łamać nie wolno.

„Nowe Książki”

Ta spokojna, napisana chłodnym językiem książka pokazuje, ile napięcie kryje w sobie i jak bardzo pasjonująca może być pozornie zwyczajna codzienność. Mądra i dojrzała powieść o ulotności życia.

„Lampa”

Zadziwiająco, jak spokojna jest to książka, mimo że tyle się w niej dzieje...

„Die Zeit”

Oslo, listopad 1989. Matka Arvida dowiaduje się, że ma raka. Tego samego dnia, zamieniwszy z mężem kilka zdawkowych słów, wyjeżdża do Danii. Do nadmorskiego miasta, z którego pochodzi. Nie wie, że jest to ostatni tydzień jej życia.

Arvid ma trzydzieści siedem lat. Jest w rozsypce. Nie może pozbierać myśli, z trudem wykonuje najprostsze czynności. Rozpada się jego małżeństwo.

Dowiedziawszy się o wyjeździe matki, Arvid rusza za nią. Nazajutrz rano, z butelką calvadosu w kieszeni, siada obok niej na wydmie.

Prawie z sobą nie rozmawiają. Arvid wspomina. Ponury dom dziadka. Śmierć młodszego brata. Partię komunistyczną. Pracę w fabryce. I jasnowłosą dziewczynę w za krótkim niebieskim płaszczu.

Poruszająca historia, dotycząca podstawowych ludzkich doświadczeń.

Przeklinam rzekę czasu to najnowsza powieść Pettersona, przez norweskich krytyków jednogłośnie uznana za najlepszą książkę roku 2008.